

Aleksander Kobecki

„Stare” Troki młodym okiem – albo na odwrót

Awazymyz : pismo historyczno-społeczno-kulturalne Karaimów nr 2(19), 15-16

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

„Stare” Troki młodym okiem – albo na odwrót

Grupka karaimskich chłopców ukryła się w krzakach. Jest 1910 rok – posiadanie butów to przywilej nielicznych. Dlatego co i rusz muszą odganiać mrówki łaskoczące ich pięty. Starają się zachowywać jak najciszej, obserwując drzwi pobliskiego domu. W środku bawią się w najlepsze ich starsi koledzy. Poza wiekiem dzieli obie grupy coś jeszcze – zabawowicze są już z „lepszego świata”. Jeszcze

niedawno też biegali gołą stopą po niewybrukowanej wówczas ulicy Karaimskiej. Dziś jednak mieszkają w dużych miastach – Moskwie, Petersburgu, Warszawie.... Wyjechali na studia, do pracy, terminować jako czeladnicy – do

Trok zaglądają latem, przywożąc ze sobą wielkomiejską atmosferę i obyczaje. Miejscowym nie w smak ich zadarte podbródki....

Skrzypnęły drzwi. Szkaradne przekleństwo rozbiło ciszę wieczoru. Drzwi domu otwierały się do środka, a oparta o nie kijem w dół, umocowana w szambie miotła zrobiła, co do niej należało. Teraz wielkomiejski strój nadaje się tylko do prania, a siedzący w krzakach dowcipnisie zanoszą się od śmiechu.

Zima kilkadziesiąt lat później. Jest mroźno i ciemno. Odgłosy trwającej zabawy zagłuszają trzaskający pod nogami chłopców śnieg. Mało prawdopodobne, by ktoś ich zauważył, ale i tak są bardzo ostrożni. Zgięci w pas skradają się przez podwórze, omijając snopy światła padające z okien, zza których dobiegają śpiewy i brzęk kieliszków. Jeszcze tylko kilka metrów... Raz! Dwa! Trzy! Stęknęli

pod uniesionym ciężarem i powoli ruszyli w dół.

– Uważaj... Nie ubrudź się... – szepnął jeden.

Od domu dzieli ich już dobrych kilkadziesiąt metrów. Jest ciężko, ale z większym trudem przychodzi im powstrzymanie chichotu. Ostrożnie wchodzi na zamrożone jezioro. Jeszcze tylko kilka minut i śmiejąc się, biegną w kierunku ruin zamku

na półwyspie.

Gdyby karaimscy dwudziestokilkulatkowie nie przepędzili młodszej o kilka lat kompanii z organizowanej 31 grudnia 1947 roku zabawy, to 1 stycznia sławojka stałaby na swoim miejscu zamiast czerniec na środku jeziora Galwe.

Każde pokolenie spędzających wolny czas

w Trokach Karaimów ma swoje historie. Nieprzetłumaczalne na język polski pojęcie *zapadło* nabiera rumieńców w iście kombatanckich wspomnieniach nad kuflem piwa. Może też zabrzmieć niemal złowrogo na tle przemykających wieczorową porą karaimskich nastolatków – oni dopiero pracują na swoje historie.

Swoje znaczenie ma też pojęcie „szczęścia w nieszczęściu” – wszystkie pokolenia karaimskich nastolatków wiedzą, kto ma szczęście posiadać w ogrodzie jabłoń, wiśnię czy śliwę o wyjątkowo smakowitych owocach. A może nieszczęście – bo od pokoleń jest to to samo drzewo.

Moja grupa wiekowa ma na koncie kilka sukcesów. Do dziś pamiętamy też porażki. Przykro mi się robi na myśl o doskonale opracowanym planie zastawienia jednemu z mieszkańców Karaimszczyzny wjazdu samochodowego ogromnymi pojemnikami



Młodzież karaimska w Trokach w roku 1919

na śmieci z restauracji Nendre. Niestety, gdy uczestnicy akcji wraz z niewyobrażalnie ciężkim kontenerem byli w połowie drogi, przejeżdżający patrol policji zniweczył ich plany. Pocieszeniem niech będzie to, że ustanowiony wówczas rekord czasu w biegu przez Karaimszczyznę do dziś najprawdopodobniej nie został pobity.

Często wspomniana jest historia „wędrujących drzwi”, które pewnego ranka Zenon znalazł na swoim ganku, a które remontujący dom Dima poprzedniego wieczora postawił na swoim. Podobnie wspomina się historię z następnego roku, kiedy drzwi porzucone przez tym razem Zenona remontującego dom, przeniosły się na ganek Dimy.

A „ziemniak”? Jedno warzywo, szpula nici, pinetka i dwie szpilki. To zestaw pozwalający na skonstruowanie kołatki okiennej, przy pomocy której budziło się mieszkańców Karaimszczyzny w środku nocy, samemu pozostając niezauważonym.

A... te wszystkie rzeczy, o których wciąż nie można opowiedzieć, bo ofiary naszych psikusów, mimo że kilka lat starsze, zachowały dobre zdrowie, kondycję i porywczy charakter? Konspiratorzy nie puszcza pary z usta tak długo, jak ujawnienie tajemnic grozi umieszczeniem ich ulubionych elektronicznych gadżetów w miejscach, w których nie chcieliby znaleźć czegokolwiek.

Nie wiem, czy czas psikusów jest najlepszym okresem w życiu. Bez wątplenia jest okresem wspaniałym. Ktoś, kto jako nastolatek spędzał wakacje w Trokach, w albumie wspomnień ma rzeczy radosne i wstydliwe. To czas, w którym doświadczasz cudów, lecz zrozumiesz je dopiero po latach, kiedy podczas rozmowy z przyjaciółmi nadchodzi refleksja: „To cud, że wtedy nikomu nie stała się krzywda”.

Pierwsze samodzielne decyzje, alkohol, eksperymenty, miłości. To czas, kiedy zabawa ma zupełnie inny wymiar niż później. Czas, kiedy tworzą się wspomnienia. Pojęcie niewygody jest gdzieś daleko, komfort to dach namiotu, a wymarzony środek lokomocji – wiosłowa łódka. Wyprawa *all inclusive* to wiaderko szaszłyków i zakonspirowana na dnie torby butelka. Przepiękna jest myśl, która nam wówczas towarzyszy – „tak będzie zawsze”.

Nie zaczynam snuć refleksji nad przemijaniem i pozostaję świadom ograniczeń mojego talentu, które uniemożliwiają udanie się w poszukiwanie straconego czasu. Nie chcę, by mój głos brzmiał

starzej niż te rzeczywiste dwadzieścia kilka, no dobrze, prawie trzydzieści lat.

Ale w moim przypadku te dwadzieścia kilka, no dobrze, prawie trzydzieści lat, to już dawno przekroczona granica, kiedy cztery litery przestają tolerować głązy i powalone pnie drzew za siedziska. Tym bardziej, że od dawna nie trzeba uciekać w cienie wysp, by poza polem widzenia wychowawczych oddziałów wnieść toast czy zapalić papierosa. Tak powoli kończy się pewien etap.

Piszę te słowa, siedząc na zacienionym ganku trockiego domu i zmagam się z pulsującym bólem głowy. Tradycyjny wieczór wspomnień skończył się kilkanaście godzin temu.

Troki są niezmiennie, to my za każdym razem przyjeżdżamy do nich inni. Wczoraj, być może wbrew mojej woli, musiałem dostrzec te zmiany. Nowonarodzone dzieci moich przyjaciół, obsypane młodzieńczym wąsem twarze niedawnych dzieci, siwiejące głowy starszej kompanii i coraz niżej zgięci staruszkowie...

To, co nastąpi w dalszej części tego tekstu to słowa człowieka, który znalazł się w pokoju przejściowym. Wciąż jeszcze czuję w powietrzu zapach moich ostatnich szaszłyków na wyspie, kiedy biorę na rękę synka mojej przyjaciółki, której mamę – zdawałoby się przed miesiącem – musieliśmy przekonywać do puszczenia córki na majówkę.

Dlatego też chcę zwrócić się do Was drodzy Karaimscy Nastolatki – zanim dorościecie, popętniajcie jak najwięcej błędów. Róbcie jak najwięcej głupot. Wątpcie we wszystko i próbujcie podważyć każdą prawdę. Nie dajcie sobie w kaszę dmuchać. I jeszcze jedno. Nie zróbcie sobie przy tym krzywdy. Z resztą – co ja tam będę gadał...

Po prostu skończę, pisząc to, w co i tak nie uwierzycie – nawet się nie spostrzeżecie, jak dorośnie dzisiejsza dzieciarnia, a wy siedząc gdzieś w knajpce będziecie zaczynać co drugie zdanie od „a pamiętasz jak...” – oczywiście mówiąc ściszym głosem, by nie obudzić śpiącego w wózku dziecka.

Aleksander Kobecki
Warszawa